9

kamena

ROK I
NR. 9

KAMENA

MAJ
1934

MIESIĘCZNIK

TREŚĆ NUMERU DZIEWIĄTEGO:

MARJAN PIECHAL	Wielkanoc . .	str. 153
JULJAN PRZYBOŚ	Na marginiesie artykułu Czernika . . .	„ 154
KAZIM. AND. JAWORSKI	Na marginesie „Pygmaliona“ . . .	„ 155
STANISŁAW PIĘTAK	Gorączka . .	„ 157
JÓZEF MONDSCHEIN	Francja . . .	„ 158
JÓZEF ŁOBODOWSKI	Norwid . . .	„ 158
ZENON WAŚNIEWSKI	Żebrak . . .	„ 159
SERGJUSZ KUŁAKOWSKI	Maksymiljan Wołoszin	„ 159
PRZEKŁADY	z poezji rosyjskiej .	„ 162
FRANCESKO LANGIULLO	Złoty syfon . .	„ 165
ALDO PALAZZESCHI	Ara mara amara .	„ 166
STANISŁAW CZERNIK	Najazd, którego nie było	„ 167
JÓZEF N. KŁOSOWSKI	Książki najnowsze .	„ 168
Noty		„ 170

Wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego przedstawia fragment zamku w Łucku na Wołyniu od strony dziedzińca na wieżę z bramą wejściową. Zbudowany około 1000 r. przez Włodzimierza W. ks. kijowskiego, jeszcze dzisiaj resztkami swych murów sprawia imponujące wrażenie.

Okładka linorytowa

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski Wydawca: Zenon Waśniewski

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki

Redakcja: Chełm Lubelski, Reformacka 43. Redaktor przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Administracja: Zenon Waśniewski, Chełm Lubelski, Reformacka 15 B.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.

Cena numeru pojedyńczego 50 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura“ Chełm Lub. 10.

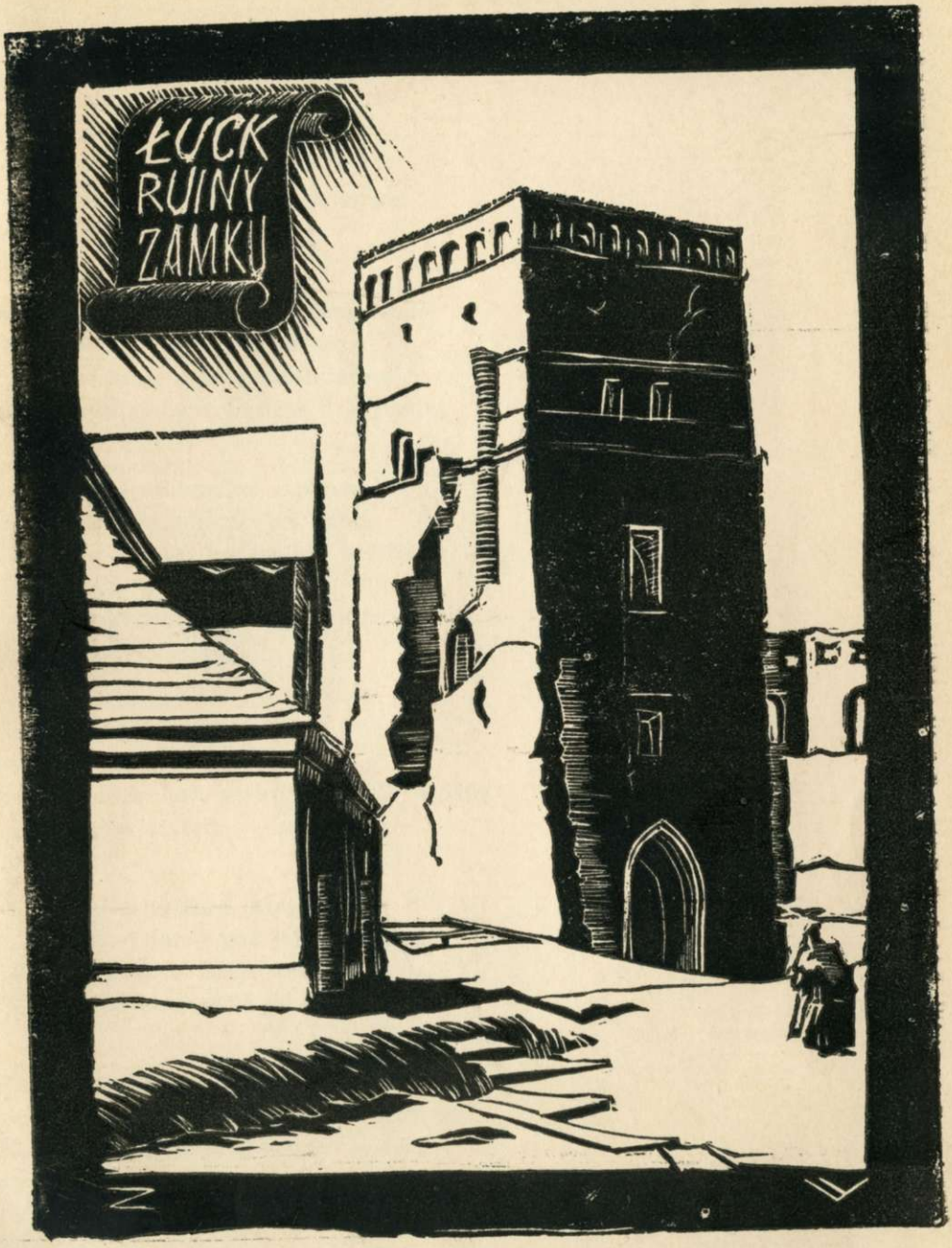
ŁUCK
RUINY
ZAMKU

MARJAN PIECHAL

WIELKANOC

Nad światem, nad Europą
nie świt, nie dzień.
Śmierć niewidzialną przelata stopą
jak przezroczysty cień.

Wśród zwiątpień gorzkich oparów
dzień zwykły, noc powszednia.
Zgasły ostatnie ognie sztandarów
na przedmieściach Berlina i Wiednia.

Ze zbutwiałych trucheł i pleśni
otwiera się przeszłość jak grób.
Kładą się w nim buntarskie pieśni,
od których w przyszłość widno...
a zmartwychwstaje zielone widmo,
rozkładający się trup.

Gnijący świata rozstrój
wydziela trującą zarazę.
Ucz się oddychać, ptaku, z każdą wiosną
zamiast powietrzem — gazem...

W tem przemijaniu, konaniu
jedna tylko noc i gaz jak najściślej
mówią głośno o Zmartwychwstaniu...
Ale jakich wzruszeń? jakich myśli?

Giną ideje, zmartwychwstają hasła
tem szczytniejsze, im mocniej wrzasną...
W Linzu ostatnia chorągiew zgasła,
od której było jasno...

Teraz noc, strasznie długa noc,
naprawdę Wielka — Noc —
głowa bezradna, jak kloc —
dookoła prze — moc — — —

JULJAN PRZYBOŚ

NA MARGINESIE ARTYKUŁU CZERNIKA

Przed dwoma miesiącami przyobiecałem redaktorowi „Kameny" artykuł na temat: „Tematowość a treść w liryce". Zaciekawiony rozprawką Stanisława Czernika „Treść i forma", której część pierwszą przyniósł nr. 7, postanowiłem ze swojemi uwagami zaczekać na jej dokończenie. Oczekiwanie nietylko mnie nie zawiodło, ale, rzecz niezwykła, przywiodło do własnego zamiaru. Druga część artykułu o treści i formie ubiegła trafnemi spostrzeżeniami niektóre moje myśli, tak, że pozostaje mi jedynie głośno przyklasnąć wnikliwym odkryciom Czernika. Kapitalne zwłaszcza dla zrozumienia nowej poezji jest jego stwierdzenie, że temat poematu jest czemś, co da się ująć dopiero po ostatecznem skrzepnięciu treści lirycznej w formę, oraz określenie treści jako zespołu przedkształtnych, najgłębszych doznań poety. Koncepcja ta jest bardzo bliska ujęciu Irzykowskiego, który elementy treściowe, „aktualności" określił jako „absolutne wartości chwil", dążących ustawicznie do hierarchizacji.

Ale rozprawka Czernika ma ostrze rewizjonistyczne. Stwierdziwszy bankructwo staffizmu i skamandryzmu, zwraca się autor artykułu przeciw przerostom „formizmu" w nowej poezji, mówiąc: „Poezja nie jest kwestją rymów, metafor, elipsy, aliteracji. Są to zagadnienia o pobocznem znaczeniu"...

Ten sprzeciw Czernika wiąże się z podobnemi głosami krytyków, zniechęconych do nadmiernego, ich zdaniem, teoretyzowania nowatorów, którzy rzekomo zapominają, że przecież „Grau ist jede Teorie"... Sprawa ta, poruszona nanowo argumentami Czernika, wymaga ostatecznego wyświetlenia.

Aby zrozumieć i ocenić właściwie rozrost poetyki formalnej w ruchu awangardowym, trzeba uwzględnić sytuację poetycką w początkach ruchu. Futuryści znaleźli się wobec równie ruchliwego, a lepiej zorganizowanego i umiejscowionego (stolica) frontu postimpresjonistów Skamandra. Skamandryzm chlubił się programofobją i łatwo zdobywał dla tego swojego stanowiska uznanie młodopolsko nastrojonych czytelników. Tej „programowej" bezprogramowości, kultowi nie-wiedzenia i bezmyślenia w sprawach poezji przeciwstawili formiści teorję czystej formy Witkiewicza i wielościowa estetykę Chwistka. Na grunt tak przygotowany przyszedł Peiper ze swoją pasją odkrywaczą, ameryk i ostatecznie, na swój sposób, w swojej poetyckiej doktrynie zdefinjował wszystko. Sugestja tej najświetniejszej głowy teoretyczno-estetycznej w Polsce była tak potężna, że poeci Zwrotnicy i Linji, realizujący każdy inaczej swoją własną poezję — w wypowiedziach teoretycznych powtarzali sformułowania Peipera, najczęściej właśnie niezgodne z ich praktyką poetycką. Jaskrawym i dość przykrym przykładem tego był casus Czuchnowskiego, który wbrew najsilniejszym własnym popędom upierał się kiedyś teoretycznie przy „pośredniości"... Z sugestji tej nie otrząsnął się nawet Brzękowski w swojej książce o „Poezji integralnej", mimo, iż dopiero on usiłuje wywnioskować nową poetykę z praktyki poetyckiej wszystkich nowatorów.

Pozorny więc przerost zainteresowań wyłącznie formą w nowej poezji tłumaczy się: 1) reakcją przeciw „natchnieniowej" programofobji epigonów symbolizmu, 2) sugestją doktryny Peipera.

Płodna walka Irzykowskiego o treść — teraz, po doświadczeniach lat mogę to przyznać bez skruchy — i nacisk okrutnej rzeczywistości społecznej na świadomość literacką w Polsce — stworzyły porę dojrzałą do rewizji nowej poezji w imię treści, rewizji, którą tak zajmująco podjął Czernik.

Wywody Czernika znajdą niewątpliwie uzupełnienie i ciąg dalszy w dyskusji. Głosy Czuchnowskiego i Czechowicza, choć brzmiące sprzecznie i obok jego myśli, układają się równolegle do tego centralnego zagadnienia. Ja chciałbym zwrócić uwagę na jedno w tym sporze.

Wyszedłszy z trafnej analizy procesu twórczego, upatruje Czernik ideał wiersza w tak „dorównanym" zroście treści lirycznej z formą, że te pojęcia tracą już potem sens, zrósłszy się w nierozerwalną jednię. Każdy

odbłysk wzruszenia, każdy fałd najgłębszych doznań ukrytych w podświadomości — otrzymuje wyraz w każdem zestawieniu słów, w każdem zwarciu składni. Każde więc zestawienie składniowe, każdy zwrot musi być żywy, musi być wynalazkiem. Maksymalna gęstość i ciężar gatunkowy poezji—jest również jego ideałem. Nie widzę tutaj zasadniczej sprzeczności między poglądem Czernika a teorją integralizmu Brzękowskiego. Zachodzi tu jedynie różnica dwu punktów widzenia na widziane to samo. Brzękowski celowo i świadomie pominął kwestję odpowiedników treściowych tych wszystkich formalnych „elementów poezjotwórczych", które w swej rozprawie zestawia i klasyfikuje. Czernik zaś swoją rozprawką podkreśla znaczenie treści, zawartej w najlepszych zdobyczach formalnych nowej poezji. Występuje jedynie — zupełnie słusznie — przeciwko pustej retoryce nienaładowanej wzruszeniami— i w tem zgadzam się z nim zupełnie. Szkoda, że Czernik nie czytał mojego omówienia książki Brzękowskiego w 1 nr. miesięcznika „Droga" z b. r.; nie pomawiałby mnie o respekt dla dogmatyki Peipera.

Nakoniec muszę nie zgodzić się, a może tylko sprostować sąd Czernika o tych, którzy, jego zdaniem, zbliżają się do ideału poezji „autentycznej" czy „integralnej". Jest to oczywiście sprawa osobistego upodobania i poglądu, ale obecnie, w okresie natężonego ruchu awangardowego, rozszerzonego na cały kraj i wzmożonego zainteresowania nową poezja, jasne rozróżnienie i ograniczenie poetów jest sprawą nader ważną. Niewątpliwie zgodzą się ze mną chyba wszyscy koledzy z b. Linji czy Żagarów, gdy odgraniczę wiersze Młodożeńca od tych dążeń do integralizmu i autentyzmu, o których mówią (innemi słowy) Brzękowski i Czernik. Marnotrawstwo słowa, wodnisty „dadanaizm", kataryniarstwo i naiwny onomatopeizm— wszystko to zbliża Młodożeńca do najgorszego we współczesnej poezji polskiej: do zegadłowiczyzny. Natomiast Czernik nie dostrzegł, rzecz dziwna, poezji, stojącej najbliżej jego ideału: Brzękowskiego, Czechowicza i Ważyka.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

NA MARGINESIE „PYGMALIONA"

Pani Klarze Sarneckiej

Mgła londyńska dusi za gardło,
mroczny Tower,
żałobna Tamiza.
— Kwiaty, kwiaty, słońce kupujcie! —
na moście krzyczy Eliza.

Wytworne panie o twarzach w maskach
i gentleman opięty w frak.
— Kwiaty, kwiaty, słońce kupujcie! —
Uśmiech Elizy: białych brzózek łaska
usta: gorejący krzak.

Serce na dłoni i wszystko wprost:
etyka —
i nic naopak.
Profesorze, popatrz na most:
to nie fonetyka —
kwiaty, kwiaty i słońce

sprzedaje piękna Eliza,
a tyś niebrzydki chłopak.

— Ja chcę, by jak tym paniom
z mej gęby kapał miód!
Kwiaty, kwiaty sprzedaję tanio,
zagłuszą miasta smród.
Profesorze, chcę być panią, ucz mię:
z ust nie słowa, ale srebrny śpiew.
Chcę tańczyć, bawić się hucznie!
Psia krew! —

Mgła londyńska za gardło dusi.
Serca ludzkie konwenans spętał.
Eliza — inne światy,
inaczej mówić musi.
Ale zmilkła na ustach piosenka:
Gdzie słońce? Gdzie kwiaty?

Za gardło dusi londyńska mgła,
gdy ustom trzeba komunały nizać:
mówisz, a myślisz inaczej.
Mroczny jest salon — Tamiza,
oko przysłania łza —
płacze
w wytwornej sukni Eliza.

Oczy — spłoszone ptaki,
zetlił się płomień warg.
W sercu dumy z miłością targ,
w sercu — huczące morze.
— Profesorze, profesorze,
bądź szczery!
Więc to był tylko eksperyment taki,
do cholery?! —

Mgła opada na rzekę i zakuwa w stal ją;
na moście innej już dziewczyny śpiew.
Stanęli objęci wpół Galatea i Pigmaljon
nad zamgloną Tamizą.
— Eh!
Życie jest piękne, Elizo,
kiedy się kocha,
psia krew! —

STANISŁAW PIĘTAK

GORĄCZKA

Od łóżka ku oknu,
jak—jak ścieżka zadymionej krwi i tamtej woni —
od łóżka ku oknu,
oknu szczypiącemu długą zadumę w niebo wkołysanych kosztanów.
Szary załom oczu prutych wczoraj i dziś i dziś czerwonemi snami —
i tylko kilka kroków, kilka kroków —
w siwej miednicy włosy krwi,
którą strach płuc ku liściom z złota na nowo wydzwonił.

Tèn guz (trawiąca bomba) napiął mi przełyk w najboleśniej rozżalony
[zapach,
ręce spłynęły w żółty szloch ścian, odszukanych po cichu skutemi uszami.
Na ścieżce z krwi, z krwi uniosły oczy błękitny odlot szyn,
oczy wyśpiewały tęsknotę w szkło zmierzchu wmurowanych słupów.

Od łóżka ku oknu — ku oknu
skoczyło serce, jak pęknięty oddech oślinione ciszą
i, gdy kosztany wypluskały ku gwiazdom tę samą białą dziewczynę,
na kruchej futrynie odszczekała znów krew swój trujący pożar —
kopnięty guz wyrwał kilogram flegmy z płuc
i uwiązł śliną na szumiących drutach.

Osiemnastoletni chłopiec, osiemnastoletni chłopiec —
oczy umknęły jak pszczoły i z gwiazdami na niebie wymieniły miejsca.
Nie mów, nie mów, ani nie słuchaj kłujących szeptów żył.
Nadymił w grube złomy biódr zielony księżyc,
imię moje — objęte gałęzią czarnych włosów,
pali mi skronie szaleństwo rosnących ud
od łona: białej łódki, usta brutalnie odarte z oddechu
w skaleczoną radość nabitych mlekiem piersi.

Osiemnastoletni chłopiec, osiemnastoletni chłopiec —
palce za szybko rozdarły krwawiącą różę z ust
i w oczach jej znalazły zielony księżyc zalany bujnym śmiechem
nie mówił nikt, nie mówił,
gdy oczy wracały na kruchą futrynę.

Od okna ku łóżku,
jak — (jak ścieżka zadymionej krwi i twojej woni)
od okna ku łóżku,
łóżku plującemu pożarem parzących snów.
Żółty załom oczu owinięty szumem błękitnych kosztanów.
Osiemnastoletni chłopiec, z kilogramem flegmy u wylotu płuc,
na nitce krwi unosząc gorzki smutek drutów,
długo chowałem w zawój mlecznego puchu żałość roztęsknionych uszu.

W okno wpłynął zielony księżyc znów —
więzienie palących ud i dymiących piersi —
wnet zatargał ścianami coraz bliższy czarny odgłos szyn..
Ciało wprawione w gorączkę i najdzikszy wiatr
ścigało brunatną Malajkę,
aż pociąg nadjechał wśród wycia kosztanów
i stukilogramowemi nożami odciął zapłodnione oczy
od wzdętego brzucha.

JÓZEF MONDSCHEIN

FRANCJA

Z czem Cię porównać, Francjo,
Z jakiem pięknem, z jaką radością?
Z powietrzem wiosny nad głową,
Z pierwszą miłością?

Hellado nowa, Hellado,
We wdzięku bezcenna:
Muzyko Débussy,
Poezjo Verlaine'a!

Przedziwna La Ville Lumière!
Placu Królewski w Nancy,
Rouen rycerskie, Tuluzo!
Czy wyście wyrazem Francji?

Ogromie ducha Pascala!
Śmiałości myśli Voltaire'a!
Czyż nie od was się rozpoczęła —
Francuzi — światłości era?

Może dusza Twa w winie i chlebie,
Francjo, który dajesz ubogim, —
Tym, co z swych domów niewoli
Weszli w Twe progi?

Kwitnąca i nieśmiertelna
Jasna wolności monstrancjo!
Chciałem powiedzieć: Matko!
A powiem tylko: Francjo. —

JÓZEF ŁOBODOWSKI

NORWID

całuny które pieką jak wrzody
ściągnij ręką zetlałą i porwij
nie zmieścić w czarnej gęstwie laurowych łodyg
tych znaków co wołają norwid

ojczyzno rozwalona na krzyżach
jak spasłe cielsko na wygodnej męce
tam w ogłuchłych na głos mój uliczkach paryża
smagłą twarz ku wschodowi wykręcę

idą orszaki żałobne pod lasem gromnic
krążą jak kruki w moim kamiennym teatrze
powiadają mi przechodnie zapomnij
namawiają mię ja czuwam i patrzę

oto pieśni jako powój na kijach
zła trucizna juljusza i adama
jam trwał kiedy każdy przemijał
i jam jeden swego bólu nie skłamał

czarne maki w skorupach dzbanów
wiatr żałobny płynie na cyprysach
ciało w trumnie drżącą struną fortepianu
skierowane prosto w przyszłość jak spisa

pieśń bezdomna zabłąka się znajda
której nikt po imieniu nie zawoła
świstu szabel nie uchwycić w brzęku kajdan
ani ludzi odszukać w archaniołach

laurowym nie wydrzesz się gajom
rozpostarty na gwiazdach jak na dzidach
tylko dojrzysz samotny konając
skamieniałe źrenice norwida

ZENON WAŚNIEWSKI

ŻEBRAK

Wychodząc w świat z kosturem i torbą podróżną,
czuję przestrzeń przed sobą pachnącą jałmużną,
nieodstępny towarzysz głód wędruje ze mną,
spędzając mnie niekiedy z posłania w noc ciemną.
Z świergotem ptaków idę, trąc oczy wpół senne,
nie wiedząc, czy zaczynam, czy kończę gehennę.
A może dziś, za chwilę, w dnia upalnym żarze,
spotkam idące ku mnie uśmiechnięte twarze
i kojące dotknięciem wyciągnięte dłonie?
Choć dziś znów myślę o tem, wieczność idę po nie.

Oto drzwi się otwarły, ktoś mnie wabi gestem!
Śpieszę się z łzami szczęścia, chcąc krzyczeć: już jestem!
Po pierwszych jednak krokach radość się rozwiewa
i jedyną jałmużną zostaje — cień drzewa.

SERGJUSZ KUŁAKOWSKI

MAKSYMILJAN WOŁOSZIN

(1877 — 1932)

Z twórczością Maksymiljana Kirienko (Wołoszina) czytelnik polski miał możność zapoznania się jedynie dzięki przekładom wiersza „Głowa Madame de Lamballe" pióra Wł. Słobodnika i Kaz. A. Jaworskiego. Jednakże ten utalentowany malarz i wybitny poeta zasługuje na uwagę chociażby ze względu na jego stosunki przyjazne z Polonią paryską; świadczy o nich m. in., charakterystyczny portret Wołoszina pędzla Eug. Zaka.

Śmierć Wołoszina (11 sierpnia 1932.) wywołała szeroki oddźwięk w prasie rosyjskiej różnych kierunków literackich i politycznych. Typowy syn epoki symbolizmu i impresjonizmu, Wołoszin był nieprzeciętną postacią na widowni literatury rosyjskiej.

Syn kozaka, urodzony w Kijowie, zachował do końca życia wybujały temperament i żywiołowość, co się ujawniało w powierzchowności poety. Wolność ducha, cygański tryb życia, szeroka rozpiętość duszy były przez całe życie jaskrawemi właściwościami tego dziecka artystyczno-literackiej bohemy. Prawdziwy artysta, Wołoszin był podobny do jakiegoś fantastycznego

„homo sapiens" z czasów wcześnie helleńskich, przypominając swoją okazałą postacią wymarzonego syna Hellady — czy też wskrzeszonego Sarmatę bezbrzeżnych, dziewiczych stepów. W życiu pociągała go jedynie jaskrawość wrażeń i przeżyć bez względu na to, jakie zabarwienie moralne, polityczne, ba, nawet artystyczne te wrażenia miały za podstawę. Tem się tłumaczy, że Wołoszin nigdy nie troszczył się ani o życie codzienne, ani o sławę, jakby to wszystko nie tyczyło wcale tego wychodźcy z innego prymitywnego świata. Z jednakową płomiennością rzucał się w wir rewolucji (będąc zesłany — przeżywał nowe wrażenia z kraju „egzotycznego"), aby później trafiwszy do Paryża, spędzać życie chaotyczno-barwne w miedzynarodowem środowisku artystycznem. Jako poeta ujmował obrazy zawsze po malarsku, kierując się efektownością światła i cieni, rzucając posępnv koloryt na obraz, zestawiając hyperboliczne przeciwieństwa nieomal w stylu Goy'i. Impresjonizm francuski służył Wołoszinowi jako metoda, zaś poeci-symboliści francuscy i belgijscy wskazali mu drogę ku urzeczywistnieniu obrazów poetyckich w śpiewnych słowach.

Doskonałe tłumaczenia Wołoszina z Henryka de Régnier'a, z Emila Verhaeren'a (z którymi było spokrewnionych kilku wybitnych poetów rosyjskich XX w.) świadczą o wysokiej technice rymotwórstwa i umiejętnej subtelności w oddaniu oryginałów. Jednemu ze swych ulubieńców — Barbey'owi d'Aurevilly'emu — Wołoszin poświęcił doskonałe studjum, opracował bibliografję, jakiej mogliby pozazdrościć Francuzi, oraz przetłumaczył „Les Diaboliques" tego wczesnego symbolisty. Stefan Mallarmé, Paweł Claudel, J. M. de Heredia odegrali w życiu Wołoszina rolę, którą obdarzył Dante Vergilego w swej infernalnej podróży. Artystyczne przeżycia epoki francuskiego „fin de siècle" wprowadziły poetę rosyjskiego do wysubtelnionego, bogatego w przeciwieństwa wieku XVIII, do czasów rewolucji francuskiei, gdy życie stało się teatralnem widowiskiem, gdy powiew śmiercj nadawał wszelkim przeżyciom niezrównany urok.

Tą drogą wykrył poeta swój potajemny świat — bądź to w Szwajcarji przy budowie słynnego „Gmachu Jana" antropozofa Rudolfa Steinera, bądź to w Koktebelu na Krymie, w swej ulubionej siedzibie, gdzie przeżywał dawne czasy Hellady nad morzem błękitno-czarnem.

Stąd epicka siła wypowiedzi. Wołoszin wiąże słowa, jakby miał do czynienia ze skąpo i wyraźnie określonemi odcieniami.

Nie troszcząc się o sławę, poeta wydrukował swój pierwszy zbiór wierszy dopiero w r. 1910, będąc już znanym uczestnikiem kierunku „Świat sztuki" i wówczas dopiero co założonego

słynnego miesięcznika „Apollo". Ta piękna książka była ozdobiona rysunkami Konstantego Bogajewskiego, spokrewnionego z twórczością poety.

Wytworny i światowy w obcowaniu z ludźmi, Wołoszin podczas recytowania swych wierszy przeistaczał się w surowego Sarmatę. Ten szczegół charakteryzuje ujęcie przez Wołoszina samej twórczości poetyckiej, nacechowanej zaiste helleńskim patosem. Los rzucił Wołoszina pomiędzy pierwszą a drugą rewolucje rosyjskie. W szeregu poematów i liryk, w setkach artykułów, rozrzuconych po czasopismach, oddźwięk epoki nabiera groźnych, proroczych cech. Nawiązując do rewolucji francuskiej XVIII w., poeta daje wyraz uwielbieniu żywiołowości i jaskrawości wrażeń. Kilka swoich artykułów wydał w r. 1914 w osobnej książce („Oblicza twórczości" t. I); pomiędzy innemi zamieścił tu bardzo ciekawy szkic p. t. „Prorocy i mściciele" (z r. 1905), uderzający groźnem ujęciem tematu rewolucji jako wielowiekowej zemsty. Jako mistyk Wołoszin wykrywał tajemnicze podstawy zjawisk historycznych, kierując się buddyzmem, antropozofją, teozofją, tajnemi doktrynami chrześcijaństwa, wskazując na moralną zbrodnię człowieczeństwa, którą można naprawić przez morze krwi. Krew w pojęciu Wołoszina jest jaskrawą plamą kolorystyczną w dziejach ludzkości, pożoga wojny— potężnem widowiskiem dziejowem. Wyrazem tych zapatrywań poety są jego utwory, wydawane w latach wojny i rewolucji jako zbiory poezyj: „Anno Mundi Ardentis" (1916), „Iwerni" (wiersze wybrane, 1918) oraz „Demony głuchonieme" (1919, z rysunkami autora). Nawiązując do dawnych wojen, do rewolucji francuskiej XVIII w., do rosyjskich powstań Razina i Pugaczowa, Wołoszyn został w ostatniem piętnastoleciu życia swego piewcą żywiołowej, niszczycielsko-płomiennej burzy, podczas której ukazują się oczom proroka postacie apokaliptyczne. W porównaniu z poematami Wołoszina słynne „Dwunastu" i „Scytowie" A. Błoka stają się blademi reasumowaniami rosyjskiego inteligenta.

Takiej bowiem apoteozy niszczycielskiego chaosu i żywiołowego rozpętania nie potrafił wyrazić ani jeden poeta rosyjski naszych czasów. „Demony głuchonieme" — to obraz słynnego obecnie poety rosyjskiego XIX w. Teodora Tiutczewa; wprowadza to nas na tory pokrewieństwa Wołoszina z tym „piewcą nocy i chaosu". Bezdenność kosmosu Tiutczewa kojarzy się w wierszach Wołoszina z ogromem przeżyć naszej epoki, w której brzmią odgłosy zgrozy świata antycznego „Terror antiquus". Dlatego poezja Wołoszina działa na nas jak zew wśród burzy i piorunów.

IWAN KRYŁOW

KWIATY

Lato... Deszcz rzęsisty — złoto dla rolników...
Gdzieś na balkoniku
a może i w otwartem oknie
z kwiatami żywemi do spółki
bawił ludzkie oczy i bukiet z bibułki!
Ten w krzyk — Hej, gosposiu, zabierz nas, bo zmokniem! —
— Nas to nie! — odezwie się Ficus zkolei —
nam, kwiatom prawdziwym, taki deszcz nie szkodzi
Dobrodziej
i tak już się, widzę, rozkleił! —

Dokąd zmierzam, wiecie:
deszcz — krytyka, kwiaty — talenty. Gdy szczere,
na deszczu odświeżają cerę!
Nie da się rzec tegoż o sztucznym bukiecie:
po deszczu staje się już — śmieciem!

Z rosyjskiego spolszczył W. Szul.

MICHAŁ LERMONTOW

I nuda i smutek. Nikt dłoni nie poda z pomocą,
gdy ręce w cierpieniu się splata.
Pragnienia? Lecz pragnąć wieczyście, napróżno.... i poco?
A lata mijają — najlepsze te lata.

Więc kochać? Lecz kogo? Na chwilę pokochać nie warto,
a wiecznie wszak kochać niesposób.
Gdy zajrzysz w głąb siebie, tam przeszłość swą widzisz zatartą,
i radość, i męki, i wszystko igraszką li losów.

Namiętność? Wszak wcześniej czy później jej słodka oskoła
zgorzknieje pod twemi już usty.
I życie — zrozumiesz, gdy spojrzysz z uwagą dokoła,
to tylko żart głupi i pusty.

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

MICHAŁ KUZMIN

*
* *

Dzień świąteczny. Pachnie mięta. Wszystko w kwiatach.
Trawa świeża, nie wymięta. Wszystko w kwiatach.
Nad ruczajem głośną falą, na pagórze
skaczą, bawią się koźlęta. Wszystko w kwiatach.
Skały sad grodzące wokół upał urzekł.
Lasy spętał, pola spętał. Wszystko w kwiatach.
O poranku przed dom wyjdę, stanę w ganku
i — pierś rytmem drżeń objęta. Wszystko w kwiatach.
Czemu kocham... czemu kocham... sam już nie wiem.
Nie codzień są jasne święta i świat w kwiatach...

Z rosyjskiego spolszczył Józef Czechowicz

MAKSYMILJAN WOŁOSZYN

DEMONY GŁUCHONIEME

Wciąż ślepi, głuchoniemi wciąż,
przechodzą poprzez ziemskie szlaki
i płomieniste kreślą znaki
jak w mgle rozwartej gromu wąż.

Otchłanie ogniem obejmując,
nie widzą nic skroś światła biel
i tworzą, zgoła nie pojmując,
jaki powołał ich tu cel.

Przez zmierzch zamglony piekła [progów
rzucają wieszcze swoje skry...
Ich los — to wszak oblicze Boga,
jawione w mroku z poza mgły.

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

MIKOŁAJ GUMILOW

SEN

(Ranna pogwarka)

Pan jest dzisiaj taki dziwny,
co pan we śnie widział znów?
— Gaj oliwny,
rzekę, nów.

A co więcej? W rozświetlone
noce ludzie kochać chcą.
— Desdemonę,
siebie z nią.

Oczy pana mówią wiele.
Kto się jeszcze w cieniu skrył?
— Tam Otello
piękny był.

Czy mu księżyc srebrzył lice?
Czy był was obojga wart?
— Tak. On rycerz
no i bard

Jakież czary on tam czynił?
O czem śpiewał w lśniących mgłach?
— O pustyni
i o snach.

I pan słuchał rozmarzony,
w oczach pana drżała łza?
— Desdemona,
lecz nie ja.

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

IGOR SIEWIERIANIN

WIOSENNY DZIEŃ

Wiosenny dzień świat złotem wień- [czy, —
ślepiące słońce miasto ssie!
Jam znowu—ja: jam znów młodzień- [czy!
Jam znowu wesół, kocham się!

I dusza rwie się, dusza śpiewa,
do wszystkich obcych mówię „ty"...
Ach, jaka przestrzeń! Jakie drzewa!
Ach, jakie pieśni! Jakie bzy!

Więc bryczką wdal, co koń wysko- [czy!
Na młode pola, pełne brózd!
Rumianym babom patrzeć w oczy!
Całować wroga w czerwień ust!

Kwitnijcie kwiaty uśmiechnięte!
Śpiewajcie, gaje, pieśń swych śnień!
Dziś nikt nie winien: każdy święty
w błogosławiony taki dzień!

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

TEODOR SOŁOGUB

Dom we śnie, wszędzie światła już [znikły,
tylko tam wgórze drży płomyk nikły.

To nie blask lampki przed Matką [Boską:
tam nie śpi człowiek, znękany troską.

Może tam chory zbudził się ze snu
i słychać jęk tam jego bolesny.

Albo rozłąką długą zmęczona,
nie może usnąć cierpiąca żona.

Lub pragnąc wezwać śmierć z włas- [nej woli,
jakiś nieszczęsny łka o swej doli.

Może tam matka nad drogim prochem
chyli się w trwodze z rozpacznym [szlochem.

Lub inna boleść świeci tam nocą.
O, zła, okrutna! I poco, poco?

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKIJ

WOJNA I POKÓJ
(Prolog)

Wam to dobrze.
Umarłych wstyd nie nęka.
Gaś w sobie
gniew do martwych morderców.
Oczyszczająca zmyła męka
grzech broczącego serca.

Wam to dobrze!
A ja
poprzez huk,
poprzez front od krwi mokry
jak poniosę miłość człowieka?
Potknę się
i ostatniego miłościątka okruch
w odmęt dymu się stoczy na wieki.

Cóż przyjdzie
tym, co wrócili,
ze współczucia okrzyków,
cóż przyjdzie
z łzawych poetyckich pień?!
Myślą tylko o tem,
jakby na parze patyków
przekusztykać jak niebądź dzień!

Boisz się!
Tchórz!
Zabiją!
A tak
półwieku jeszcze będziesz włóczył
[ciało!

Kłamstwo!
Wiem,
że i w lawie ataku
byłbym pierwszy,
bohater
i śmiałek.

O, któż
gdy przyszłość zagrzmi nam
nie stanie
na apel rączo?
Każdy.
A dziś
jestem sam
heroldem prawd,
które jutro wszystkich połączą. —
Dziś triumfuję!
Nie rozbryzgałem
duszy,
potrafiłem,
potrafiłem ją donieść cało.
Bo jeden ludzki
wśród wycia
wśród burzy
podnoszę
głos zuchwało.

A zresztą
rozstrzelajcie,
wiążcie do słupa w polu!
Nie splami twarzy mojej strachu
[biel!

Chcecie —
mogę asa
przylepić na czole
by jaskrawiej płonął wam cel?!

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

BORYS PASTERNAK

Tak się zaczyna. Od lat dwóch
od mamki w mgłę się dźwięków leci.
Szczebiocze, świszcze się—deszcz słów
pojawia się już w roku trzecim.

Tak zaczynają się zagadki
i kiedy w huku mknie turbina,
zda się, nie matką ci już matka
żeś ty nie ty, że dom — obczyzna.

Co począć z strasznem owem pięknem,
na ławce siedząc w bzowym cieniu.
I kiedyż kraść tu dzieci zlękłe?
I tak powstają podejrzenia.

Tak rosną strachy. Jakżeż gwiazd
nie dotknąć ma na nieb ekranie,
gdy on — fantasta, gdy on — Faust.
Tak zaczynają się cyganie.

Tak się odsłania w chmur otworze
ponad opłotkiem i nad grzędą
jak szept westchnienia nagłe morze.
Tak jamby się zaczynać będą.

Tak nocy letnich jasna wić,
wieszcząca: już na ranek pora! —
zda się źrenicą twoją lśnić.
Tak się wszczynają z słońcem spory.

Tak się zaczyna wierszem żyć.

*
* *

Pianino drżące pianę z ust obliże.
Podrzuci ciebie, zerwie ta maligna
i powiesz, — miły! — Wtedy — Nie
[wykrzyknę
Nie! Przy muzyce?! — Choć byważ
[się bliżej,

niż gdy się rzuca ot o takiej chwili
dźwięki jak kartki dziennika do
[ognia?
O zrozumienie dziwne, tylko kiwnij,
zdumiejesz sama! — Możesz pójść
[swobodnie.

Nie trzymam wcale. Innym oddaj
[siły.
Wszak dawno został napisany
[Werter,
a dziś powietrze nawet pachnie
śmiercią:
otworzyć okno to jak przeciąć żyły.

Z rosyjskiego spolszczył K. A. Jaworski

FRANCESCO CANGIULLO

ZŁOTY SYFON

(Fragment)

Włosy pozłacane krwią,
oczy fosforyzujące,
nimfy czarowne i źródła posrebrzane,
gdzie się syreny pluskają
i lśniące od złotowłosów
ciała faunów drżą.
O, suchotnicy-poeci!
I wy im śpiewać możecie!
O malarze z muzeów!
I wy ich pieścić możecie!
Niebo błękitno świegotające,
ideale błękitny,
błękitny pierścieniu śmierci!
Blaskiem rażące niebieskie ścieżki:
lećcie w nie dzielni piloci,
kiedy was obłęd zamroczy!
Południe olśniewające:
leźcie z tęsknoty kokoty, nocna hołoto,
jak cyrkle roztworzone,
rozlazłe, kwaśne, zielone,
w cieniu takich izb,
które zawsze zamykają oczy.

Każda latarnia sztyletuje, rozżarzona do biała w południe.
Każdy balkon ma swoją szybę,
w którą reflektor druzgotem ślin pluje.
Każdy brylant jak słońce ma serce bijące
i błyska, piska, szeleści, wytryska
elektryczną burzą.
Wszystkie krople, drzazgi, które się w snach mrużą,
są pluskami i bluzgami białego ognia.
Każda kropla wina ma coś z rubina.
Każdy metal roztapia się w setne łzy światła
słonecznym pomiotem.
Złoto jest mosiądzem,
a mosiądz jest złotem,
który płonie, skrzy się, drży,
jeżąc siarczane włosy.
Każda rzecz żywi w sobie pająka,
który ją oprzędza świetlistą pajęczyną.

A najwyższy On się śmieje.
Wyrafinowany pochlebca,
czarodziejski mamiciel,
który nim mgły rozwieje,
posyła na ziemię o świcie
ociekający strumień złota.
Niewyczerpany i świeży!
Jedyne złoto poetów!
Jedyne źródło złota,
którego nie dostaną bankierzy!

Słońce!
Aureolo pracy nowej!
Zagłado pracy starej!
Słońce,
które elektryzujesz zielone liście,
a spopielasz schnące,
najczystsze słońce!
Które każdego dnia o zachodzie
zapalasz stary dzień,
zapalasz siebie samo w onym starym dniu
błyskiem żarliwych drgnień,
aby dać tym, którzy się urodzą jutro,
słońce i jutro,
zawsze wciąż nowsze i czystsze
w złocie jutrzenek —
ty będziesz naszem słońcem,
zanim się jutro nam wyśni,
najwyższa meto lotników,
syfonie złota
t r y ś n i j!

Z włoskiego przełożył Jalu Kurek

ALDO PALAZZESCHI

ARA MARA AMARA

Na pochyłem wzniesieniu
wśród wysokich cyprysów
jest łąka malusieńka.
W półcieniu trzy staruszki,
grające w kości, stoją.
Żadna głową nie ruszy na chwilę,
żadna miejsca ni razu nie zmieni.
Na trawie na kolanach
stoją w półcieniu i grają.

Z włoskiego spolszczył K. A. Jaworski

STANISŁAW CZERNIK

NAJAZD, KTÓREGO NIE BYŁO

Przed kilku miesiącami w artykule „Synowie ziemi" (Kamena № 5) wskazywałem na rozwijający się u nas w ostatnich czasach ruch przeciwchłopski. Nazwałem to problemem Szywały ze względu na początkowe umiejscowienie tego działania w literaturze pięknej. Konfrontacja papierowego Szywały z człowiekiem żywym, z prawdziwym inteligentem pochodzenia chłopskiego wykazała, że literacki odpowiednik tego typu jest wyrazem odwróconej rzeczywistości. Wkrótce potem w prasie stołecznej rozgorzała polemika na temat chłopów w literaturze. Odważny głos Młodożeńca, który przeciwstawił swe chłopskie credo antyludowej stolicy, jest dokumentem. Zresztą cała ta polemika jest zbiorowiskiem pustych słów. Wiadomo, że publicystyka polska odznacza się brakiem jakiejkolwiek odpowiedzialności za słowo. Sprawa Szywały przeszła do drugiej instancji.

Narazie generalnym prokuratorem w rozpoczętym procesie został znany publicysta warszawski J. E. Skiwski. W nr. 16 (29) „Pionu" w artykule „Przemilczany najazd", na marginesie polemiki między Piaseckim, Makarewiczem i Młodożeńcem, p. Skiwski postawił niezwykle ciekawą tezę o zagadnieniu chłopa w historji literatury. Problem ten w oświetleniu p. Skiwskiego nabrał niemal zasadniczego znaczenia, dotyka bowiem nietylko historji literatury i roli chłopów w jej kształtowaniu, lecz jest właściwie próbą „rzucenia światła" na całokształt zagadnienia roli inteligentów, pochodzących z warstw proletarjackich w tworzeniu wartości kulturalnych. Niezwykle sugestywna forma wywodów p. Skiwskiego posiada znaczną siłę przekonywającą, tembardziej więc wymaga konfrontacji z rzeczywistością. Tej konfrontacji podejmuję się.

P. Skiwski łączy dwa zagadnienia w jeden przyczynowy związek. Stwierdza najpierw niski poziom polonistyki współczesnej, wskazuje na liczne dzieła ogromnej pracowitości, którym wyjątkowo towarzyszy inteligencja. Powołuje się na Boya, który „w swoich ostatnich artykułach fredrologicznych dał nam znowu sporą porcję przykładów, dowodzących niezbicie wyjątkowego braku okrzesania umysłowego u naszych uczonych". Wreszcie odmawia dzisiejszym historykom literatury talentu rekonstruktorskiego, przez co powstaje nauka bez sprężyn, blada, a zarazem nieścisła. „Główna przyczyna" tego stanu rzeczy leży według Skiwskiego „w szerokiem uprawianiu polonistyki przez masy inteligencji chłopskiej". Poprostu chłopi z dawnej Galicji dokonali najazdu na historję literatury, opanowali ją chytrze od dołu do góry i wytępili talenty rekonstruktorskie, reprezentowane przez niechłopów. P. Skiwski mówi wyraźnie, że rzucili „sugestję na całą polonistykę, sugestję, której ulegają nietylko chłopi". Sami zaś są tylko religjantami szczegółów, bo nie mają czasu do bezinteresownych rozmyślań, ostatecznie zaś wyświęceni na kapłanów „w duszy i zachowaniu pozostają zakrystjanami".

Jest to zarzut ogromnie poważny, i sądzić należałoby że p. Skiwski, jako przedstawiciel warstwy, mającej wiele czasu do bezinteresownych rozmyślań i talent rekonstruktorski, pozwalający z ułamków odtwarzać epoki, oskarżenie swoje przemyślał i oparł na rzeczowych dowodach, nie na ułamkach obserwacji, gdyż poruszona sprawa dotyczy teraźniejszości i może być w każdej chwili sprawdzona. Niestety p. Skiwski tak mocno uwierzył w zmysł rekonstruktorski swej warstwy, że odtworzył styl dzisiejszy na podstawie własnych przygodnych spostrzeżeń, streszczonych w tem zdaniu: „Nieraz obserwowałem polonistów i wogóle historyków literatury chłopskiego pochodzenia". To jest cały materjał dowodowy p. Skiwskiego. Fałszywej rekonstrukcji ubiegłej epoki nieraz nie można obalić, trzeba wierzyć „na słowo" historykowi. Rekonstrukcja przyczyn rzekomego upadku dzisiejszej historji literatury, nakreślona tak wyrazistemi linjami, jest w całej pełni sprawdzalna. Teorja o najeździe barbarzyńców wiejskich na subtelną krainę literatury jest tylko fantazją p. Skiwskiego. Nie znaczy, to, by chłopi nie studjowali tej dyscypliny na uniwersytetach (dziś zresztą można ich policzyć na palcach), lecz do najazdu i opanowania polonistyki przez ten odłam nie doszło.

Raczej twierdzę, że chłopi nie zdobyli ani jednego bastjonu oficjalnej fortecy, ani jeden z nich nie otrzymał święceń na kapłana-twórcę, święceń w postaci katedry uniwersyteckiej (zresztą może jest gdzieś wyjątek), ani jeden chyba nie pisał tych dzieł pracowitych, reprezentacyjnych, które podobno wykazują brak inteligencji. P. Skiwski twierdzi, że dzieł tych jest setki. Twierdzenie to jest pustem słowem. Przejrzałem wykazy bibljograficzne z lat ostatnich i nie znalazłem ani jednego tytułu, prócz kilku przyczynków. Tak jednak jest: chłopi nie biorą udziału w historji literatury, niema więc materjału, któryby upoważniał kogokolwiek do wydawania negatywnych lub pozytywnych sądów o ich zmyśle rekonstruktorskim. Gdzież są ci chłopi? Jeżeli jest ich trochę, to pełnią funkcje techników — nauczycieli w gimnazjach prowincjonalnych lub w szkołach powszechnych, — ci teorji nie tworzą, teorja historji literatury pozostaje w całości w rękach profesorów uniwersyteckich, oni wydają te pracowite dzieła, w których p. Skiwski nie zauważył inteligencji. To przecież nie chłopi piszą te prace. Znamy ich wszyscy. Wymienię ich w alfabetycznym porządku. Przejrzyjmy ten różaniec nazwisk: Boleski, Bernacki, Bruchnalski, Brückner, Chrzanowski, Drogoszewski, Górski, Grabowski, Gubrynowicz, Hahn, Korbut, Kleiner, Kolbuszewski K., Kolbuszewski St., Kołaczkowski, Kridl, Krzyżanowski, Kucharski, Pollak, Pigoń, Pini, Potocki, Szweykowski, Szyjkowski, Ujejski, Wierczyński-Vrtel, Windakiewicz, Woycicki, Zaleski, Życzyński. Może kilku niechcący pominąłem. Trzydzieści reprezentacyjnych nazwisk, czoło historyków literatury. To oni napisali te dzieła, o których mówi Skiwski. To oni rekonstruują historję. Jeżeli są chłopami, teorja najazdu okaże się słuszną. Nie wiem, jakie sprawdziany stosuje p. Skiwski przy badaniu pochodzenia. Według dawnych przepisów o nadaniu szlachectwa (średniowiecze) należało udowodnić, że ojciec, matka i któraś babka pochodzili z nobilów. Współczesne sprawdziany rasowe są surowsze od średniowiecznych, w Niemczech, zdaje się, obowiązuje dowód do trzeciego pokolenia wstecz. Być może, stosując takie przepisy, wykazalibyśmy, że wszyscy wymienieni powyżej historycy literatury pochodzą z chłopów. Jednakże ja użyję innego sprawdzianu. Chłopi, jak wiadomo, rodzą się na wsi. Otóż z wymienionego spisu tylko jeden prof. Pigoń urodził się w jakiejś Komborni galicyjskiej, i może on jest pochodzenia chłopskiego. Inni rodzili się w miastach, przeważnie w Warszawie, Lwowie, Krakowie. Każdy może te szczególiki sprawdzić w wydawnictwie Peretiatkowicza i Sobeckiego p. t. „Współczesna kultura polska". Tak wygląda rekonstrukcja p. Skiwskiego i jego teorja o najeździe. Oskarżenie upada z braku dowodów rzeczowych, oskarżony był nieobecny na miejscu występku, wykazaliśmy właśnie wiarogodnemi dokumentami jego bezsprzeczne alibi. Teraz ma głos prokurator. Zdarza się czasem podczas procesów sądowych, że prokurator cofa oskarżenie. Wierzymy, że p. Skiwski okaże się takim rzadkim typem.

Na zakończenie słówko o podłożu „ideowem", na którem powstają tego rodzaju nieprawdopodobne pomysły. Wiadomo, że chłopi nie przedstawiają dziś żadnego niebezpieczeństwa konkurecyjnego dla warstw „oświeconych". Liczba dzieci chłopskich, pozbawionych szkoły, zbliża się „powoli" do miljona, w gimnazjach jest ich garstka, w uniwersytetach wkrótce nie będzie ich wcale. Zdawałoby się, że nastroje przeciwchłopskie są zjawiskiem przypadkowem. Tak jednak nie jest. Rzecz w tem, że działa tendencja zróżniczkowaniu społecznego na warstwy wyższe i niższe. Organizuje się mit warstwy wyższej. Wiadomo, jak tworzą się takie mity — proces wywyższenia się w dużej mierze polega na poniżeniu innych. Stąd płyną insynuacje, na tem tle powstaje sugestja, której ulegają także umysły pozornie jasne. Należy sądzić, że jest to dopiero początek procecu. Sprawa demaskowania tej psychozy, rozbijania tworzącego się mitu jest najważniejszem może zagadnieniem społecznem czasów dzisiejszych.

KSIĄŻKI NAJNOWSZE

FR. KÖRMENDI: „PRZYGODA W BUDAPESZCIE", Warszawa. Wydawn. Gebethnera i Wolffa, R. 1934. W ostatnich latach na widnokręgu literatury pojawiły się dzieła szczególne, które możnaby porównać do najwspanialszych rac, rozkwitających nagle na tle ciemnego nieba. Twórcami podobnych książek byli: Remarque, Celine, oraz Fink, ludzie który w jednej chwili stanęli na szczycie doskonałości pisarskiej, a dzi-

siaj należą już do grona nieśmiertelnych. Ostatnio, do szeregu wymienionych przybył jeszcze jeden, nikomu dotąd nieznany pisarz węgierski Fr. Körmendi, autor głośnej powieści, nagrodzonej na międzynarodowym konkursie, ogłoszonym przez firmy wydawnicze angielskie i amerykańskie Powieść ta nosi tytuł: „Przygoda w Budapeszcie.

Akcja „Przygody w Budapeszcie" toczy się wartko, raźnie, rozlewa się szeroko trzema nurtami, rozgałęzia się i emocjonuje do najwyższego stopnia, a to przedewszystkiem dzięki splątaniu z sobą dwu wątków.

W stołecznej kawiarni zbiera się grono szkolnych kolegów, dyskutujących wzajemnie przez beznadziejne długie wieczory. Wszyscy oni nie mogli się dotąd wybić, a chociaż zajmują najrozmaitsze stanowiska od dziennikarza do buchaltera, to jednak nie znaleźli tego, co mogliby nazwać „szczęściem". Jeden z nich spotyka przypadkiem w angielskim czasopiśmie fotografję, przedstawiającą kolegę szkolnego i to najgłupszego w klasie, Antoniego Kadara. Z objaśnienia, umieszczonego obok, dowiaduje się ten biedny urzędniczyna, że Kador jast miljonerem w Południowej Afryce. Przypadek ten staje się punktem wyjścia dla dalszej akcji „Przygody w Budapeszcie" Sterany walką o chleb Andor Koleman pisze list do Antoniego Kadara, wierząc, że tamten skorzysta z jego zaproszenia i przyjedzie do rodzinnego Budapesztu, a wtedy może i nędznemu biuraliście rozpogodzi się jakoś życie. A kiedy wreszcie przychodzi odpowiedź, zapowiadająca przyjazd bogatego Kadara z Afryki do Budapesztu, Kaleman popada w gorączkę, a z nim całe grono zbierających się stale w kawiarni.

W tej chwili odsłania nam autor w drugiej części swojej książki dzieje Antoniego Kadara, dzieje naprawdę niezwykłe, pociągające swą ogromną zmiennością, kolorytem egzotyki, bogactwem przeżyć i niezliczonych przygód. A więc Kadar po powrocie z armji austrjackiej, przyjeżdża do Budapesztu, i po ciężkiej chorobie, jaką przebył wskutek wojennej nędzy, zabiera się do pracy. Trochę pracuje, ale więcej kocha się, znowu upada, męczy się i głoduje, wyjeżdża na uniwersytet do Wiednia, a stąd znów do Londynu, aby tam znaleźć się na bruku bez chleba i dachu nad głową. Nad Tamizą poznaje raz jeszcze piekło życia. Włóczy się po obcych ulicach, przez pewien czas myje garnki w podrzędnej restauracji, aż nagle staje w obliczu szczęścia. Poznaje przypadkiem zamożną, owdowiałą Węgierkę i ta zabiera go z sobą do Afryki Południowej, gdzie Kadar kończy studja i robi swą fantastyczną karjerę. Wówczas to otrzymuje list z rodzinnego Budapesztu, i przyjmuje zaproszenie. W stolicy Węgier omotują go koledzy, chcąc wyłudzić jaknajwięcej pieniędzy, a jeden z nich Koleman rzuca nawet w jego ramiona swą siostrę, byle tylko wydobyć się z nędzy. Kadar raz jeszcze, nie wiadomo tylko który, kocha się w rudowłosej dziewczynie, lecz „przygoda" kończy się dlań pomyślnie, a złamany i zawiedziony w swych nadziejach biedny, bezrobotny urzędniczyna Koleman ginie w nurtach rzeki. Tak wygląda w przekroju fabuła „Przygody w Budapeszcie".

„Przygoda w Budapeszcie" Körmendiego to książka naprawdę niezwykła Czuje się w niej bowiem oddech żywiołu, na jaki stać tylko wielkiego artystę. Przez wszystkie karty tej powieści wieje gorący wiatr emocji, działającej na czytelnika sugestywnie. Porywające tempo narracji przykuwa naszą uwagę od pierwszej aż do ostatniej strony. Nadzwyczajna znajomość psychiki ludzkiej zadziwia na każdym niemal kroku. Wypiwszy tę książkę do dna, stwierdzamy, że trudno jest pisać o niej inaczej, niż entuzjastycznie, gdyż Fr. Körmendi, to talent pierwszorzędnej jakości, po którym można jeszcze spodziewać się bardzo wiele. Powieść wydana starannie. Przekład dobry. Dobrze się stało, że „Przygodę w Budapeszcie" przyswojono literaturze polskiej i to wtedy, kiedy rynek księgarski jest zaśmiecony mnóstwem niepotrzebnych, okropnych nieraz przekładów.

Z. NOWAKOWSKI: „DZWONEK NIEDZIELNY" Warszawa 1934, Gebethner i Wolff — Jest to nowy zbiór feljetonów, drukowanych w „I. K. C." utalentowanego autora „Startu E. Sulimy" i „Kucharza doskonałego". Czyta je się z taką samą przyjemnością, jak i po raz pierwszy na łamach dziennika. Tętnią bowiem humorem o specyficznych cechach, właściwych tylko Z. Nowakowskiemu. Książkę niefortunnie tylko „zdobi" okropna okładka, odstręczająca od czytania.

NOTY

JÓZEF CZECHOWICZ: W BŁYSKAWICY, Warszawa 1934, nakładem „Drogi". Z prawdziwem zainteresowaniem otwieramy nowy tomik poezyj Czechowicza: jakąż też drogą pójdzie rozwój talentu tego wybitnego poety, którą z wielu swoich możliwości rozwinie szczególniej, czy będzie to dalszy krok w rozkwicie twórczości, czy też okres siesty? Spotykamy tematy, znane z poprzednich zbiorków: serdeczny liryzm wspomnień w pięknym „Autoportrecie" i rzewnem „Dzieciństwie", tematy, związane z tajemnicą śmierci („Iliada tętni" i wstrzasające miserere „Hymnu"), erotyka („Śpiewny pocałunek", „Eros i Psyche"), poezja „Prowincji" (uzupełnienie znanego cyklu z „Dzień jak codzień"). Ale są i tematy nowe: oto próba skreślenia wizerunku duchowego Norwida w ładnym, opartym na motywach norwidowskich „Domu św. Kazimierza", oto usiłowanie stworzenia pewnej syntezy w „Polakach". Jednak w tych ostatnich utworach Czechowicz jest mniej przekonywający. Najpiękniej potrafi mówić o czarze dzieciństwa, oglądanego dzisiaj przez pryzmat zamglonych łzami oczu, najlepiej umie wyczarować fantastykę prowincji (np. ten niezrównany rynek lubelski w noc księżycową z zachwycającym ustępem: „Księżyc po stromym dachu toczy się jest nisko zaczekaj zaczekajmy chwilę jak perła upadnie w rynku lubelskiego miskę miska zabrzęknie"). Ekspresja wielu wierszy niezmiernie sugestywna i wynalazcza. Ale ogólne wrażenie po przeczytaniu nowego zbiorku — kwietyzm. Jakby naprawdę zaciężyła na poecie „śnica i śniegowica". Cóż że na „złe dwie minuty" wstanie „junak gniewu". Napróżno szukamy rozwinięcia pięknych zapewnień „nie anioła ale ziemica" z tomu „Dzień jak codzień": „nie będę twoim świerszczem", „tylko taki czas odmienny chciałbym poznać w którym ludu karabinem będę z wiosną". Okres burzy i naporu, zdaje się, Czechowicz pozostawił już za sobą. I dlatego może źle, że poeta dedykował swą książkę młodości. (Korekta zbiorku bardzo niedbała).

HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA: IMIONA ŚWIATA. Wyd. „Droga" Warszawa 1934. W swoim pierwszym zbiorku „Zamknięty pokój" Łazowertówna dała kilka zastanawiających wierszy (np. „Dmuchawce", „Jack London", „Wokulski"), które kazały spodziewać się, że autorka znajdzie własny ton i bardziej oryginalne ustosunkowanie się do życia i świata, niż to, które znajdujemy u innych współczesnych jej poetek. I oto piękny wiersz na początku nowej książki zdaje się realizować tamtą zapowiedź: „To wtedy, gdy na Radzymińskiej ulicy witały mnie chude dzieci z nogami, skrzywionemi przez nędzę, z twarzami,

które rzeźbił głód, to wtedy — ciężki od krzywdy, od łez napuchnięty świecie, poznałem twe imię: Bunt. Nie umiałam o tem pisać wierszy: jak na wiatr wystawiłam twarz na ten świat boleśniejszy i twardszy i szerszy, na ten świat już nie mój — nasz!" Niestety, tylko w pierwszym wierszu Łazowertówna mówi o naszym świecie. Bo oto w następnych występuje ciągle mój świat: subtelności miłosne, nastroje z podróży po Francji, egzotyzm i egotyzm, wyrażone nieraz wcale pięknym wierszem — ale to mało. Po Łazowertównie spodziewaliśmy się czegoś innego, niż nowej edycji Tuwimówny.

JERZY BRAUN: EPITAPHIUM Warszawa 1934 Bibljoteka Zet. Piekny to hołd poety, złożony genjalnemu filozofowi na pamiątkę odsłonięcia jego pomnika na cmentarzu Neuilly w Paryżu. Ale zamierzenie niezmiernie trudne, z którego nie łatwo naogół wyjść ręką obronną. Jakichż słów użyć dla oddania potęgi genjuszu, odmalowania wnętrza duchowego wielkiego człowieka, by nie wpaść w rozlewny werbalizm, nie zagubić w powodzi słów istotnych myśli, nie zatracić się w koturnowej napuszoności i sztucznym patosie. A jednak Braun zręcznie ominął te rafy, o które łatwo rozbiłby się kto inny. Może dlatego, że jest znawcą i wielbicielem Hoene-Wrońskiego. Najciekawiej wypadły te miejsca „Epitaphium", w których poeta odnajduje w filozofie cechy ludzkie, proste i codzienne, napozór nie różniące go niczem od zwykłych śmiertelników. Tam znajdujemy naprawdę przekonywającą ekspresję.

CZESŁAW JANCZARSKI: IMIĘ NA KORZE, Dom Książki Polskiej, Warszawa, 1934. Malutki ale dość ważki zbiorek, malujący umiłowanie przez poetę natury. Miejscami nastroje młodopolskie. W „Złotych nitkach" np. wyraźny wpływ Tetmajera („Melodja mgieł nocnych"). Ale niektóre obrazy widziane swoiście i oryginalnie np. „toczy się po stole nieba księżyc — pomarańcza" lub wiersz „Po obu stronach wołyńskiej drogi"). Tylko tytuł niefortunny: prawdziwi wielbiciele przyrody nie wycinają liter na korze drzew.

ZBIGNIEW FOLEJEWSKI: DOM W GORCACH Wilno, nakładem L. Chomińskiego 1934.

Wiersze opisowe i refleksyjne. Zarówno w ustosunkowaniu się do świata (piękne powiedzenie: „nie uwierzysz w świat, którego nie stworzysz"), jak w nastrojowych obrazach i ekspresji poetyckiej dużo samodzielności. Cytujemy kilka miejsc — ciekawe wyzyskanie elementu ruchu: „tyraljerą wypłynęły doliny i zabrały nas i nasze sny", „domy chodzą wzgórzami i w dolinie leżą cicho", „z mgły na zboczach buki czerwono płyną w głąb",

„czerwień wdół popełznie na ziemię". Debjut naprawdę interesujący.

MARJAN KUBICKI: CHLEB, Warszawa, 1932 Nakładem „Maku" SOSNOWE SŁOWA, Warszawa 1934 Nakładem Akadem. Zw. Młodzieży Ludowej „Młoda wieś".

Ortografja: jakżesz (Sosn. sł. st. 56), niewróci (Sosn. sł. str. 54) niechciał (Sosn. sł. str. 13, 35), niezdole (Sosn. sł. str. 13) tą miłość (Sosn. sł. str. 65) wciąsz (Chleb str. 28).

Język: zwiący się (Sosn. sł. str. 12), niezdole (Sosn. sł. str. 13) „patrzył wciąż płynącej wodzie" (Sosn. sł. str. 32), „to, co stare nie odrodzi wiosna" (Sosn. sł. str. 36), „każdy w sobie zamyśleni" (Sosn. sł. str. 42), „znajść" (Sosn. sł. str. 46), „aże po chwile" (Sosn. sł. str. 54) „nie chcę zamienić buntowniczą czerwień" (Sosn. sł. str. 56), „nic ją nie obchodzi smutek" (Sosn. sł. str. 65), „rzucił wszystko w djabły" (Sosn. sł. str. 59), „trza się o chleb w kierat życia poddać" (Sosn. sł. str. 59), „każde jedno ziarnko" (Chleb str. 26), „dzielić się kołaczem, krórego tworzysz ty chłopie" (Chleb str. 10).

Epitety: „liście przeradosne" (Sosn. sł. str. 24), „ziemia marna" (Sosn. sł. str. 45), „pawie rożnookie" (Sosn. sł. str. 45), „wiejski, zasmarkany Jaś" (Chleb str. 32).

Ideologja: „Dla was jest brześcia mało, mało, wy plwający geszewciarze (!)" (Chleb str. 36) „tłumy wciąż szły, defilowały przed swemi (!) opasłymi wodzami, których chlebem jest słowo o miłości i krzywdzie" (Chleb str. 35), Stanowczo—mało jest brześcia dla podobnych anal... poetów.

JÓZEF MARJAN CHUDEK: DRZEWA Bibljoteka Kl. Artyst. S. T. II Spóźniony bełkot dadaistyczny, wywołujący często nieprzewidziany przez autora efekt komizmu. Np. „Kszy, łszy i mszy, nszy, pszy i tszy, tszypi, kszypi, szypi ulewa". Albo: „szumi, plumi, plaskocze, szewieliście leszawi w szale, szypsza, pszaszy chluptoczem". Trochę białej magji: „są plamy" — „ni śladu plam", „są plamy i tu i tam" — „niema plam". I „wciąż się zdaje, że za chwilę się skończy, a on szumi i spływa bez końca".

„Nie można lepiej" (str. 13)? Można, napewno można. Młodożeniec i Wat robili to przed trzynastu laty daleko lepiej.

UKAZAŁ SIĘ W WARSZAWIE № 1 „DEMIURGA", nowego miesięcznika, poświęconego filozofji, polityce i sztuce. Pismo propaguje ideę słowiańską. Na uwagę zasługują artykuły: „Człowiek wieczny i człowiek trzeciej Cywilizacji" Antoniego Piotrowskiego i „U źródeł współczesnej prozy rosyjskiej" Sergjusza Kułakowskiego. Na bezwzględne potępienie dedykowany Al. Brücknerowi fragment dramatu „Narodziny" p. t. „Bogowie w

nawi" Włodzimierza Rostowita; napisany jest okropnym jakimś prapolskim językiem, przypominającym Radosława Krajewskiego. Wiersz zaopatrzony słowniczkiem. Proponujemy pisać wprost w języku staro-słowiańskim. — kaj —

PRO URBE SUA

„Pygmalion" B. Shaw'a, wystawiony przez Teatr Polski im. Słowackiego pod dyrekcją A. Rodziewicza, to jedna z najwyższych pozycyj tej kulturalnej placówki. Wpłynęła na to zarówno sama sztuka, błyskająca racami niezrównanego dowcipu i ostrzem ironji godząca w życie angielskiego high-life'u, jak i gra artystów (pp. Burbianka, Sarnecka, Zielińska, Leszczyński, dyr. Rodziewicz, Zoner i in.) Zwłaszcza pierwszorzędne kreacje profesora fonetyki Higginsa i kwiaciarki Elizy stworzyli pp. Rodziewicz i Sarnecka. Gra p. Sarneckiej stała na wyżynie prawdziwego artyzmu. Obok Gałganka — Eliza z „Pygmaliona" to największy sukces tej świetnej artystki. — My chcemy jeszcze Shaw'a!

A jednak „Panna Maliczewska" jest doskonałą komedją, a Zapolska nie starzejącą się, rasową pisarką. Cóż z tego, że to i owo w sztuce trąci już dzisiaj nieco myszką, że pod pewnemi względami poszliśmy już naprzód: Komedja daje nam skrawek prawdziwego, niepodrobionego życia, przedstawia nam ludzi z krwi i kości. Dialogi znakomite, ponury paralelizm dwóch uwodzicieli, stawiających biednej Stefci identyczne warunki, pomyślany genjalnie. A gra artystów? Nie przesadzimy, jeśli powiemy, że chyba to najwyższe (obok „Otella" i „Pygmaliona") osiągnięcie teatru dyr. A. Rodziewicza w bieżącym sezonie. Wszyscy grali koncertowo (p.p. Burbianka, Okońska, Sarnecka. Sławińska, Zielińska, Brodzikowski, Jaroń, Ławski, Modrzeński i in.). P. Modrzeński, kreujący starego Dauma, był doskonały, a p. Sarnecka w roli tytułowej jeszcze raz dowiodła, że jest artystką niezrównaną. To też z niecierpliwością oczekujemy, jak też dyr. A. Rodziewicz wykorzysta wielki talent tej świetnej aktorki w przyszłym sezonie.

Koło Literackie im. S. Żeromskiego przy Seminarjum Nauczycielskiem męskiem przy udziale uczennic Seminarjum Żeńskiego wystawiło 5 i 6 maja „Wesele" Wyspiańskiego. Z trudnego zadania młodzież wywiązała się naogół dobrze.

Ukazał się pierwszy tom poezyj Zdzisława T. Popowskiego p. t. „Gwiazdy w popiele". Wiersze przeważnie opisowe, rzadziej refleksyjne, spotykają się akcenty społeczne. Plusy zbiorku: bezsprzeczny talent, oryginalność ujęcia niektórych tematów (np. „Życie", „Przed grobowcem Mickiewicza" i in), stosunkowo małe uleganie wpływom, wydobycie własnych środków ekspresji, nieraz bardzo świeżych i oryginalnie pomyślanych (np. „wiatr ulice zamiatał czterokonnych wierszy", „I leżał dzień jak byk opasły... krwawiąc łeb strzaskany słońcem na barchanie nieba", „Słońce zeszło po cyfrach godzin" i in.) Minusy: metaforiasis — w nadmiarze przenośni często gubią się kontury obrazu, zbytnia wyszukaność niektórych przenośni, nie osiągających zamierzonego celu (Np. „czas zwinięty nerwowo w pięści kółek (?—to ma być zegarek!) rzęził", „na piętrze tysiąc godzin wtóruje słońca klarnet" i in.), nic nie mówiące epitety („niestarte (?) milczenie", „skuty (?) na falach propeller"). Naogół jednak debjut udatny, świadczący o poważnem ustosunkowaniu sie autora do rzemiosła poetyckiego.

PISMA I KSIĄŻKI NADESŁANE

Biuletyn Polsko-Ukraiński № 49 — 52, Dażboh № 3 — 4, Dekada № 29 — 32 Dziennik Urzędowy K. O. S. L. Nr. 63, Nazustricz № 7 — 8, Państwo Pracy № 12 — 16, Pion № 14 — 17, Sygnały Nr. 6, Zet Nr. 1 (49) — 2 (50) Jerzy Braun: Epitaphium, Warszawa 1934 Bibljoteka Zet. Józef Chudek: Drzewa, Warszawa 1934 Bibljoteka Klubu Artystycznego S. t. II. Józef Czechowicz: W błyskawicy, Warszawa 1934 nakładem miesięcznika „Droga". Czesław Janczarski: Imię na korze, Skł. gł. Dom Ks. Pol. Warszawa 1934. Marjan Kubicki: Chleb, Warszawa, nakładem „Maku" 1932. Marjan Kubicki: Sosnowe słowa, Warszawa 1934 nakładem Ak. Zw. Mł. Lud. „Młoda Wieś". Cyprjan Norwid: Miłość czysta u kąpieli morskich, Warszawa, 1934 nakł. miesięczn. „Droga". Zdzisław Popowski: Gwiazdy w popiele 1934 nakł. J. Różeckiej, J. M. Rytard: Dalekie spojrzenie, Warszawa 1934. Wyd. „Droga".

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. L. SŁ. W WYSOKIEM MAZOWIECKIEM. Z łaskawie nadesłanych wierszy oryginalnych i przekładów nie skorzystamy.

P. S. T. W CHEŁMIE. Jak wyżej. Listy miejskie frankuje się znaczkiem 15 — groszowym.

P. P. H. W WARSZAWIE. (autor wierszy „Ogrody w wietrze", „Cisza opadła w nas i wokół" i in.) Część nadesłanych utworów zamieścimy w jednym z numerów jesiennych „Kameny".

P. J. L. w RÓWNEM. Wiersz „Gdy zielona równina" — dobry. Pójdzie w Nr. 11-ym (wrześniowym) „Kameny". Przekłady z Jesienina i Błoka są do nabycia w redakcji „Kameny" w cenie 2 zł. i 1 zł. W sprawie współpracy z Redakcją i wieczoru poetyckiego zostanie wysłany list.

P. W. PIETRZ. W WARSZAWIE. List Pański zaginął nam. Przepraszamy bardzo i prosimy o powtórne przysłanie wiersza, który będzie zamieszczony w jednym z jesiennych numerów „Kameny".

P. R. W. w KALISZU. Wiersze nie do druku. Redakcja „Kameny" narazie nie może jeszcze honorować drukowanych na jej łamach utworów.

OD REDAKCJI

WZGLĘDY TECHNICZNE powodują konieczność drukowanie pewnych artykułów i wierszy garmondem, innych petitem. Nie oznacza to, oczywiście, klasyfikowania utworów na ważniejsze i mniej ważne.

POD ADRESEM „NAZUSTRICZ" WE LWOWIE. Dziękując za wskazanie błędu w spolszczeniu wiersza Krawciwa („Kamena" Nr. 7), ze swej strony pozwolimy sobie zwrócić uwagę dwutygodnika ukraińskiego na to że znakomity poeta francuski Guillaume Apollinaire nie zginął bynajmniej w r. 1918 „na polu walki", jak o tem czytamy w Nr. 7 „Nazustricz", lecz zmarł na grypę. W r. 1916 był ranny w głowę i trepanowany.

TAK SIĘ NIE ROBI W Nr. 16 (29) „Pionu" ukazała się recenzja p. W. Sebyły ze zbiorku J. Czechowicza „W błyskawicy". W treść tej recenzji została wpleciona wzmianka o dwóch ostatnich tomikach A. Madeja. Wolno p. Sebyle uważać Madeja za ucznia Czechowicza, a jego wiersze za trawestacje poezyj „mistrza", wolno mu nawet zbiorek „Twarz", składający się z oddzielnych utworów, nazywać poematem, — ale nie wolno, bo to jest nietaktem, zamieszczać tych uwag w recenzji, poświęconej Czechowiczowi, zamiast w oddzielnym ustępie, zaopatrzonym odpowiednim nagłówkiem.

OSTATNI NUMER (10-y) rocznika pierwszego „Kameny" będzie poświęcony Mickiewiczowi. Na treść jego złożą się aktualne artykuły i wiersze, przekłady poezyj Mickiewicza na języki słowiańskie oraz linoryt, przedstawiający portret wieszcza ze współczesnego daguerotypu. Zeszyt będzie zawierał 24 stronice, prócz tego wkładkę tytułową dla rocznika oraz spis rzeczy, zamieszczonych w №№ 1 — 10. Cena tego numeru w sprzedaży zostanie podniesiona do 70 gr.

W obecnym numerze „Kameny" na str. 168 opuszczono przez nieuwagę nazwisko autora przeglądu „Książek najnowszych". Jest nim, jak i w poprzednich numerach, Józef Nikodem Kłosowski.